

– Wyłaź, wyłaź! – krzyczał Michał. W pierwszej chwili nie wiedziałam na kogo. Dobrze było mi w dziupli. – Wyłaź! Zośka! Bo nas pozabija, rozumiesz?! – darł się jak rozwścieczony kojot, gotowy do zdobycia pożywienia pomimo wszystko. Pomimo wszelkich przeciwności. Tym razem pożywieniem byłam ja, a mój brat tylko nośnikiem złej energii naszego ojca. Nie miałam zamiaru jeszcze schodzić, ale musiałam się jakoś wytłumaczyć przed Michałem i zażegnać niebezpieczeństwo.

– Powiedz, że zaraz będę! – krzyknęłam. – Wymyśl coś, jeśli jest tak strasznie!

– Złaź, mówię, bo w końcu wydam, gdzie tak przesiadujesz! Zawsze gdzieś cię nosi, a my obrywamy!

Po takim stwierdzeniu musiałam wyjść. Znowu musi być krzyk, płacz, bicie i wrzaski, bo tylko to uspokaja naszego ojca. Tak jak kupa czerwonego, krwistego mięsa z zagryzionego zwierzęcia uspokaja rozjuszzonego lwa. Dziwne są czasami prawa natury. Łańcuszek zależności pokarmowych i prawo zwierzchnictwa silniejszego nad słabszym sprawdzało się w naszej rodzinie. Coraz bardziej przestawałam wierzyć w sprawiedliwość i jakiegokolwiek prawa tego świata.



Odkąd pamiętam, zawsze byłam częścią społeczności, w której królem i bohaterem był alkohol. W naszym domu to on zajmował szczególne miejsce. Zawsze był pierwszy. Wszyscy myśleliśmy o nim albo o konsekwencjach, jakie zgotował nam każdego dnia. Nie potrafiliśmy wyrzucić go z naszego życia. Każdego następnego dnia fundował nam coraz to nowe niespodzianki. Byliśmy z nim związani. Nie mogliśmy tak po prostu go wyrzucić, bo on był związany z naszym ojcem. Nasze codzienne życie było podporząd-

kowe fanaberiom naszego ojca, jego potrzebom i zachciankom. Szybko stawali się dorośli, przejmowali ich obowiązki.

Mieszkaliśmy w dużym budynku, gdzie było dużo pomieszczeń, ale nie było miłości ani zrozumienia. Nasze życie wyglądało jak stara, zniszczona maszyna, która potrzebuje natychmiastowej naprawy, a nie ma na to pieniędzy. W dzieciństwie nauczyłam się odpowiedzialności, przede wszystkim za bliskich. Każdy nowy dzień przynosił niespodzianki, na które nie mieliśmy wpływu. Każdy z nas miał masę obowiązków w domu, które zawsze wykonywaliśmy sumiennie. Nie było dla nas wakacji ani wycieczek, nie było szczególnych rozrywek. Najczęściej podglądaliśmy starsze dzieci albo zwierzęta. Moi starsi bracia zrobili bazę na drzewie. Kilka zbitych desek na rozłożystej lipie, w rogach niskie ławki i niewielki daszek z reszty desek. Nasze małe królestwo. Tam zawsze był spokój, można było obserwować ptaki i spokojnie pisać. Tam pisałam listy do Boga, do losu, do ludzi. Swoje żale i przemyślenia spisywałam na papierze. Później chowałam w słoik i wsadzałam do dziupli. Myślałam, że w ten sposób zaczaruję jakoś rzeczywistość. Czasami godzinami siedziałam i słuchałam ptaków. Taka cisza zawsze uspokaja. . . Ale po zejściu z drzewa nic się nie zmieniało. Nikt nie odczarował mojej rzeczywistości. . . Zabierałam też czasem Irkę albo Wojtka, wtedy wymyślaliśmy fajne zabawy. Wojtek zawsze wygrywał w statki albo w skreślanki. Wtedy, kiedy byłam sama, pisałam listy.

*Panie Boże!*

*Rozpoczynam mój list do Ciebie może dziesiąty już raz i nie wiem, czy zdążę go skończyć? Nie wiem, czy dam radę przekonać Ciebie do pomocy. Dalej tak być nie może. Podobno jesteś i widzisz to wszystko z góry. Widzisz moje upokorzenia, widzisz naszą niemoc, widzisz tę straszną biedę, nędzę i brak jakichkolwiek perspektyw.*

*Jesteś Wszechmocny, Wszechwiedzący, Dobroczynny i Sprawiedliwy. Więc zrób coś! Proszę Cię. . .*

*Ty masz wszystko, nie potrzebujesz zeszytów, bo wszyst-*

*ko już wiesz i nie musisz się uczyć. Nie chodzisz do szkoły i nikt się z Ciebie nie śmieje, że masz zniszczone, rozsypane się buty, a twoje spodnie są tak sprane i stare, że wszyscy oglądają się za Tobą z politowaniem.*

*Czujesz te spojrzenia i nic nie możesz zrobić, nie możesz w kółko bić się ze wszystkimi albo pokazywać im języka. Bo tak nie wolno, bo Ty się pogniewasz, bo to grzech, bo tak nie wypada.*

*Nie możesz ciągle być obrażona na wszystkich, bo to i tak nic nie da. Bo skoro Bóg ci nie pomoże, to kto?*

*Ciągle słyszę tylko: „... Bóg ci pomoże”. Jeżeli możesz... Nie, tak nie mogę pisać do Ciebie. Mama by powiedziała, że nie ma pokory w moim pisaniu. Ale ja nie chcę już być taka pokorna.*

*Wybacz, Panie Boże!*

I znowu następny, i jeszcze jeden... Niekończące się listy bez odpowiedzi. Mama opowiadała nam czasami o tym, jak ludzie pisali listy, wsadzali do butelek i wrzucali do wody. Czasami, po wielu miesiącach, ktoś odnalazł butelkę, i to w najmniej spodziewanym miejscu. Czasami ludzie wstydzili się swoich uczuć i wyznawali komuś miłość z nadzieją, że ten ktoś to dostanie. I ja pisałam też zawsze z nadzieją. Takie moje SOS.

*Bardzo Cię proszę, Panie Boże, zmień ten świat!*

*Ty wszystko możesz, więc zmień tę naszą męczarnię, przecież ja nie chcę bardzo dużo, tylko trochę spokoju i bezpieczeństwa. Siadam tu ciągle i czekam na rozmowę z Tobą, a Ty nigdy się nie odzywasz, nie pocieszysz, nie obiecasz, że ten koszmar się skończy. Chciałabym usłyszeć, że to wszystko, co się dzieje, to tylko zły sen, i tak jak we śnie wszystko skończy się wraz z nastaniem dnia.*

*Ale to nie mija, nie przechodzi, nie kończy się, jest prawie tak samo, albo podobnie jak wczoraj, i ja nic nie mogę zrobić. Odezwij się chociaż raz, albo daj poznać, że na pewno jesteś, niech nie mówię do samej siebie, albo lepiej*

*powiedz mi, jak zrobić i co zrobić, żeby mój świat był lepszy, przecież ludzie, o których myślę i mówię, to moi najbliżsi.*

*Powinno być bezpiecznie tam, gdzie są najbliżsi, gdzie rodzina, Dom, mama i tata. A nie jest... Dlaczego...?*

*Pozwól, Panie Boże, chociaż raz obudzić się w pięknym świecie, gdzie nie ma obłudy, nie ma pijaństwa, nie ma znęcania się nad słabszym.*

*Bardzo Cię proszę, spróbuj zrozumieć i odmienić mój mały świat. Zrób coś, by ludzie zrozumieli granicę między dobrem a złem, między głupotą a mądrością, żeby pojęli, jak mało potrzeba, żeby człowiek był szczęśliwy i zadowolony.*

*Panie Jezu, pozwól moim małym braciom i siostram żyć spokojnie i szczęśliwie. Pozwól dzieciom być po prostu dziećmi. Jeśli możesz, zabierz już mojego Tatę, bo my już nie możemy z nim wytrzymać.*

*Nie wiem dokąd. Ale weź go ze sobą albo zmień coś w tym człowieku.*

*Kolejny raz siadam i kolejny raz zadaję sobie to samo pytanie, czy wreszcie wysłuchasz mnie i coś z tym zrobisz. Nie mogę zapomnieć i przestać czuć tych razów, nie mogę udawać, że nie słyszę płaczu moich siostr i braci.*

*Chcę zapomnieć i wymazać z pamięci przerażony wzrok matki, wyrzucić wszystko to, co niepotrzebne, niemile. Te rany są jak ropiejące krosty. Nie można ich niczym wyleczyć. A może jest jakieś lekarstwo, to podpowiedz jakie. Ty nic nie czujesz, czy nie chcesz czuć, a może jedno i drugie?*

Po każdej awanturze choć na kilka minut chowałam się w domku na drzewie i pisałam to wszystko, co bałam się powiedzieć głośno. Czekałam na jakąś zmianę...

*Mój Panie!*

*Czy jest coś, co możesz mi dać? Ja tak niewiele potrzebuję, tylko spokoju i ciszy, wybaczenia i przekonania, że jutro będzie lepiej. To nic nie kosztuje.*

*Pozwól mi wierzyć jeszcze w drugiego człowieka, pozwól mi ufać Tobie.*

*Czekam na ten wymarzony, jedyne dzień, kiedy ten koszmar się skończy...*



Dzisiejszy dzień zaczął się bardzo spokojnie, więc bez żadnego zastanowienia się mogłam dłużej posiedzieć na drzewie.

– Zosiu, Zosiu! – ciągle dochodzi do mnie wołanie mamy, głos coraz natarczywiej woła, a ja, skulona w schowku na drzewie, nie wiem, czy wyjść czy skończyć mój list. Zastanawiam się: co zastanę, jak stąd wyjdę?

Powoli wynurzam głowę z naszego schowka. Marzę. Wyobrażam sobie, że idę wysokim chodnikiem, który się nie kończy, jest piękny dzień, świat kolorowy, a ja bardzo szczęśliwa.

Moje oczy widzą cudowny świat, fascynujących ludzi i roześmiane dzieci. Zawsze szczęście kojarzy mi się z pięknymi barwami, z ciepłem, słońcem i wesołym śmiechem. Jestem w stanie wyobrazić sobie, jak powinien wyglądać nasz dom. Wiem nawet, jakie kapcie przynosiłabym tacie, gdyby był zmęczony. Widzę wesołych i szczęśliwych ludzi wokół, często zamykam oczy i marzę... i czekam. To przecież takie niewielkie marzenia, bo nie marzę o królestwie ani o kolorowych ciuchach. Marzę o normalności. Mam swój własny obraz naszej rodziny, naszego bytowania... Jakiż on inny niż ten dzisiejszy. Taki mój wymyślony tylko na moje potrzeby. Ten obraz nie pasuje nijak do rzeczywistości. Ta rzeczywistość jest zbyt szara, brura, smutna...

Tymczasem wieś przygotowuje się do odpoczynku, słycać dziwny dźwięk szemrzających krowich łańcuchów, czuć słodkawy zapach świeżego mleka i cichy pośpiech, który zapowiada spokój i nadchodzącą noc. Ludzie bardzo ciężko pracują, więc należy im się odpoczynek.

– Maniek!!! – wrzasnęła sąsiadka koło mojego ucha i to przywróciło mi ziemskie myślenie.

– O, Zosia! – zdziwiła się wyraźnie na mój widok. Przybierała

takie miny, jakby widziała mnie pierwszy raz. – A nie widziałaś ty naszego Mańka? Nie wiem, gdzie się dziś cały dzień podziewał. . .

Nareszcie, pomyślałam, może się zainteresowała wreszcie swoją rodziną. Chciałam coś bardzo niegrzecznego jej odpowiedzieć, ale w porę się powstrzymałam. Renia ciągle chodzi, nigdy nie ma jej w domu i nigdy się niczym nie zajmuje. Jest taka trochę niedokończona, jak mówi ciotka Róża. Czasami głupio się śmieje, to innym razem głośno płacze, spazmuje bez żadnego powodu. Jest za to bardzo ładna, wysoka. Ciemne, długie, kręcone włosy, ładna, śniada cera i piękne zęby. Tylko rozum nie taki jak trzeba. Zawsze miała adoratorów. Nikt nie zwracał uwagi na to, że jest trochę upośledzona, nie przeszkadzało to nikomu do czasu, aż zaszła w ciążę i na świecie pojawił się Kacper. Jej matka rwała sobie włosy z głowy, bo i tak nie było w domu co jeść. A tu jeszcze dziecko, które nie miało ojca. Nie szukali specjalnie „winowajcy”, ani nikt się też specjalnie nie przyznawał. Matka myślała, że wszystko się zmieni, że jej córka zmadrzeje po porodzie, ale Reni to wcale nie przeszkadzało, znów włóczyła się ze wszystkimi, nie interesowała się dzieckiem. Aż zdarzył się wypadek we wsi. Zginęła młoda kobieta. Sieczkarnia wciągnęła ją za fartuch w swoje tryby. Została tak pokiereszowana, że nie udało się jej uratować. Wszyscy we wsi byli głęboko poruszeni tą tragedią i na różne sposoby szukali żony dla młodego wdowca. Z dwojga złego chociaż to jedno można było naprawić.

I tak Renia bardzo szybko znalazła męża. On potrzebował kobiety, bo miał dwoje małych dzieci, a ona potrzebowała męża i ojca dla swojego Kacpra. I tak Renia stała się matką i żoną.

Od tej pory chodziła tylko za nim, urodziła jeszcze czworo dzieci, ale nigdy się nimi nie zajmowała, tylko jej matka. Ona była szczęśliwa. Wszystko, czego potrzebowała w życiu, znalazła w jednym człowieku. I zawsze starała się być w jego pobliżu.

– Cały dzień gdzieś się włóczy, jakby nie miał co robić w domu. . . – mówiła szybko, nieskładnie, ale robiła wokół siebie taką ciepłą aurę, że chciało się jej słuchać. Była bardzo ładna. Mrużyła oczy i zakrywała je długimi rzęsami. Wszystkim chciała się podobać.

Robić to może by i miał, ale czy jeść co? – myślałam. Szczerze jej nie znosiłam. To jej wyuzdanie budziło we mnie bunt i wyzwalało dziwne, niekontrolowane zachowania.

– To wiesz, gdzie jest, czy nie? – zapytała.

Nie mogłam bardziej przedłużać tej rozmowy, bo stawała się coraz bardziej napięta – rozmowa, ja i pani Renia. Ludzie opowiadali, że Renia bywała też agresywna.

– Poszedł paść bydło z Jurkiem i z Szymkiem, ale nie bójcie się, wzięli ze sobą prowiant, zrobią ognisko, to nie wróci głodny – odpowiedziałam jej.

Popatrzyła na mnie bezmyślnym wzrokiem, potrzepała fartuch na sobie, poprawiła włosy i poszła. Poszła znowu obściskiwac się ze swoim mężem, ciekawe, czy od tego obściskiwania to u nich jest tyle dzieci – myślałam. Zaraz było słyhać urywane, niedokończone słowa:

– Nie, no! ... coś ty! – mruzczała sąsiadka. Nie chciałam tego słyhać, więc zatkałam tylko uszy. Wyszłam do drogi; środkiem wiją się koleiny od wozu, długie jak serpentyny, po obu stronach tych kolein ścieżki wydeptane przez ludzi i wyjeżdżone przez rowery. Wszystkie ulice schodzą się w centralnym miejscu przy kościele, tam jest tylko trochę kocich łbów. Nigdzie więcej nie ma takiej drogi. Ciągle patrzyłam na te kamienie. Ile pracy kosztowało ułożenie tego kawałka. Każdy kamień był inny, ułożony w pewną całość. Nikt nigdy nie mówił o tym, kto to zrobił.

Czasami tylko, gdy mama chciała nam powiedzieć, jak bardzo ciężka jest praca, mówiła: „to tak jakbyś drogę kamieniami wykładał przy kościele. . .” i wtedy wiedzieliśmy, że to bardzo ciężko. Dziś wieczorem, tak jak codziennie, słyhać tylko brzęk wiader przy studniach i plusk wlewanej wody do koryt, mlaskanie koni i krów przy picciu, odgłosy pokrzykiwań dzieci i szczekanie psów. Od czasu do czasu przejedzie koń z wozem i zrobi tuman kurzu, i to wszystko. Wieś ma swoje prawa i obowiązki, ale tych ostatnich jest o wiele więcej. Ludzie i zwierzęta czekają na zasłużony odpoczynek. A ziemia paruje i wydziela cudowny zapach świeżości. . . Noc za to wcale się nie spieszy. Słońce zachodzi na czerwono. To na pogodę. Mama może przewidzieć pogodę na następny dzień. Wie,

kiedy będzie lać, kiedy będzie słońce, i wie, kiedy będzie straszny wiatr. Zimą zawsze wie, jak duży będzie mróz i czy śnieg będzie padał. Bardzo ważne podobno jest, z której strony wieje wiatr. Jak od wschodu, to będzie najzimniej.

Wracałam bardzo powoli, nie spieszyłam się. Chcę pobyć czasem sama, pomyśleć, coś napisać, poczytać. W naszej dziupli mamy i papier, i ołówek, każdy coś czasem przynosi i tak to się zbiera. Jest wszystko, co potrzebne. W domu ciągle harmider, to się nie da. Żałuję, że dzień się tak szybko skończył i muszę wracać do domu. Za to wczoraj spacerowaliśmy długo, prawie do jedenastej. Ja, mama, Wiola, Krysia i stara pani Badłowa. Chodziłyśmy tak do kościoła, potem na przystanek. Tu chciałyśmy posiedzieć, ale ławki były zajęte przez młodzież. Rowery porozrzucane dookoła i pełno tam dziewcząt i chłopców. Wszyscy chłopcy pozapuszczali włosy do ramion. Pytali mnie o Michała, czemu nie przyszedł, ale jak zwykle nie mogłam im powiedzieć prawdy.

– Widzi pani, co się dzieje, młodzież... Ile oni mają lat? Piętnaście, szesnaście, czy rok więcej. Tak dokuczają długo w noc, że zawsze musimy zamykać okna. Palą papierosy, piją to wino patykami pisane i tak przeklinają, że uszy puchną. Wiele razy zastanawiałam się, skąd mają pieniądze i kto im sprzedaje to wino?

– Ja też wiele o tym myślałam, przecież to sama trucizna. Ale co człowiek może zrobić, rodzice nie pilnują, a młodzi nie mają co ze sobą począć. Wiele razy zachodzili po Krzysia, ale on ma tyle zajęć, że nigdy nie może się wyrwać – mama przechylała głowę do tyłu. Wiatr dmuchał jej po szyi. Włosy rozlatywały się jak talia kart, były takie długie i prościutkie.

– To bardzo dobrze, bo patrząc na to, co się dzieje, to niczego dobrego z tego nie będzie.

– Będzie, będzie, pani Badłowa. Młodość ma swoje prawa. Wyszumią się, wyskaczą i wylądują we właściwym miejscu. Trzeba w nich tylko wierzyć, bo sami się pogubią.

– Z tego szumienia i skakania nie zawsze dobrze wychodzi.

– No nie zawsze, ale przeważnie tak. Niektórzy mają dużo szczęścia, inni mniej – mama zamyślała się tak czasami, że aż się bałam. Twarz jej wtedy matowiała, a oczy traciły blask. Przy



kiosku Ruchu jeszcze stali ludzie. Też pewnie po papierosy. Kłaniali się mamie wszyscy. Wzbudzała zainteresowanie i szacunek. To dobrze. Mamy też coś, czego nie musimy się wstydzić. Przyjemnie było tak pospacerować. Ciepły wiosenny wiatr, kumkanie żab i zapach świeżej ziemi. . .

– Dobranoc, pani Badłowa, do następnego razu! – Pożegnałyśmy się, odprowadzając ją do samej furtki.



Tego dnia przyjechałam bez zapowiedzi. Już na przystanku żałowałam, że tak robię. W końcu każdy ma prawo jechać, dokąd chce, i robić, co chce, ja powinnam chociaż napisać, że będę. Miałam trochę czasu, bo już skończyliśmy remont i mogłam odwiedzić moją siostrę. Trochę to głupio, że tak bez uprzedzenia, ale. . . jesteśmy przecież rodziną. Chociaż tego nie byłam taka pewna, bo kiedy ostatnio tam byłam, powiedziałam kilka słów mojemu szwagrowi. No, byłam gotowa przeprosić, jeśli trzeba będzie. Wszystko to było dziwne. Nie bardzo mogłam zorientować się w sytuacji, ale podświadomie czułam, że coś tu nie gra. Dlatego, trochę na przekór, postanowiłam pojechać i zbadać całą sytuację. Już sam przejazd autobusem był nie do zniesienia. Po drodze dosiadali się ludzie i robiło się coraz ciasniej. Na następnym przystanku wsiadło dużo ludzi z targu. Przepychali się z torbami i koszykami. Palca by nie wcisnął. Zapach tanich perfum mieszał się ze smrodem odchodów ptactwa, które kupili na rynku: kaczek, gęsi i kur. Co chwilę ktoś się przesuwiał, ktoś inny uderzał moją sąsiadkę siatką w głowę. Ta przesuwiała się całym ciałem na mnie. Szczęśliwie dojechaliśmy do Warszawy. Tu z kolei padało. Na szczęście następny autobus był na czas. W tej ulewie dojechaliśmy do samego Otwocka. A tu niesamowity widok, pierwszy raz tak wyraźnie widziałam granicę deszczu. Ta ciemna ściana została za nami. Może to i dobrze, bo przynajmniej weselej się zrobiło. Gdy już dotarłam do domu Hanki, nikogo nie zastałam, choć drzwi były otwarte. Obeszłam wszystkie zakamarki – pusto. Biedny ten dom mojej siostry! No prawda, że mają tyle dzieci, ale na wsi zawsze można chociaż je-

dzenie mieć za darmo. Takim sposobem żyje połowa mieszkańców każdej wsi. Po piętnastu minutach przyszedł Michał ze szkoły. Był bardzo zdziwiony:

– O, ciocia! Co, nikogo nie było?

– Nikogo nie było, drzwi były otwarte, więc weszłam nieproszona. – Nic nie odpowiedział. Był zmieszany moim widokiem i zapewne swoim obcesowym zachowaniem. To nic takiego, pomyślałam, każdy ma czasami gorszy dzień, a to przecież jeszcze dziecko, duże, ale zawsze. . .

– Ciociu, zrobimy herbatę, poczekamy, może ktoś przyjdzie. . .

– No, ale Michałku, gdzie mama? Przecież ona powinna być już w domu, pojechała gdzieś czy co. . . ? – nie mogłam zrozumieć, gdzie ona jest o tej porze, przecież dzieci zaraz wrócą ze szkoły. – No dobrze, trochę zaczekam – zgodziłam się. Nie będę nic mówić, bo to ja jestem ta, której dobrze i zawsze rości sobie prawo, aby pouczać innych. Moja siostra ostatnimi czasy zachowywała się co najmniej dziwnie. Nie odpisywała na listy, w czasie swojego małżeństwa tylko kilka razy odwiedziła mnie z dziećmi i mężem. Przeczynałam od dawna, że tu nie jest tak, jak siostra mi opowiada, ale niestety musiałam poczekać. Dawniej zawsze miałam kontrolę nad tym, co moja siostra robi. Dokądkolwiek wychodziła, ja musiałam o tym wiedzieć. Dla niej to też było pewnego rodzaju wyróżnienie, ona miała komu powiedzieć, dokąd wychodzi, zapytać, czy może. Inne dzieci jej tego zazdrościły. Nigdy nie było takiej sytuacji, żebyśmy nie czekały na siebie jeśli, na przykład, któraś była w kinie albo w bibliotece. Godzinami opowiadałyśmy sobie wrażenia z każdego wyjścia, z każdej rozmowy z kimkolwiek – z koleżanką, z wychowawczynią, czy kimś nowo poznanym. Do czasu. . . Któregoś dnia Hania wróciła bardzo podekscytowana. Od razu nie podobało mi się to jej wychodzenie, chociaż zapewniała mnie, że to nic takiego, że to tylko kolega. Wiele razy żałowałam, że tam poszła. „To tylko lody z Julką!” – mówiła, żeby odwrócić moją uwagę od niebezpieczeństwa. Bo to było niebezpieczeństwo. Potem to już wszystko potoczyło się jak w filmie. Szybki ślub, szybki wyjazd na peryferie. Bo co to było, to trudno nazwać. Trzytysięczne miasteczko lub duża wieś, jak kto woli. Nawet do dziś nie wiem,

jak to jest naprawdę. Wszyscy chcą, żeby było to miasto, ale też wszyscy mają ziemię. W niedzielę i święta to prawdziwe miasto, ze spacerami, z mszą i watą na patyku z małego kramiku przy kościele. W takie dni można kupić lody i ciastka w małym sklepiku spożywczym, w inny dzień nie opląca im się trzymać takich rarytasów w sklepie, bo i tak nikt nie kupi. Dzieci trzęsą butelkami z oranżadą; im więcej będzie piany, tym lepiej. Nie zawsze można wszystko wypić, bo część ląduje na ziemi.

„Ale się porwałaś z motyką na słońce!” – zawsze tak mówiłam, bo jakże inaczej można powiedzieć. „Ona nawet nie ma pojęcia, jak zrobić jajecnicę!” – zamartwiałam się głośno. „Jaka to żona będzie?” – zadawałam sobie i innym ciągle to pytanie, ale po tym szybkim ślubie jej teściowa powiedziała mi, że pomoże, to uwierzyłam. Sama długo jeszcze chodziłam do szkoły, a dopiero później wyszłam za Zbyszka. Podziwiałam zawsze moją siostrę za to zaparcie, ja chyba bym nie dała rady.

A dzisiaj to już miałam kompletny zamęt w głowie. Gdzie ona się podziała? Nie ma też Franka. . . Nie mogłam w ogóle się połapać w całej tej historii. Dawniej zawsze mogłam ją chronić, a ona mnie. Nieraz zachowywała się doroślej niż ja. . .

Nawet wtedy, gdy pojechałyśmy do Poznania na święta Bożego Narodzenia. Tam żyła przyrodnia siostra mamy, ale już wtedy wiedziałam, że jest to ktoś, kto myśli tylko o czubku własnego nosa. Co prawda już miała troje swoich dzieci, którymi zajmował się wujek Tosiek i jego mama. Więc my to byłby dodatkowy kłopot. Ciocka Kinga malowała tylko swoje paznokcie i „bywała”.

– W towarzystwie bywam. . . – zawsze tak mówiła mamie, gdy do nas wpadała – . . .inaczej człowiek nie ma kontaktu z otaczającym go światem.

– Dobrze, że przyjechały, to przynajmniej twoje rodzone dzieci będą cię mogły widzieć w takie święta, no chyba nie wybierasz się nigdzie. . . – wujek mówił do ciotki, jak tylko przyjechałyśmy z dworca. Był taki zagubiony, zdezorientowany. Jakby się bał, że ktoś za niego podejmie jakieś nieodpowiedzialne decyzje albo zrobi coś, z czego on będzie musiał się tłumaczyć.

– Ładne te dziewczyny – ciotka zagadywała z drugiej strony,

albo cieszyła się na nasz, chyba nie najgorszy widok. – Takie podobne do matki. . .

– Obie podobne, tak? Przecież nawet są niepodobne do siebie – wujek był poirytowany. – Widzisz zawsze to, co chcesz, i tyle. . .

– Tak, tak, moja Śrubeczko. . . Każdy ma swoje przyporządkowane miejsce w życiu. . . – ciocia próbowała go pocałować w policzek.

– Nie mów do mnie „Śrubeczko” i spróbuj powstrzymać się od sztucznych serdeczności. Nie bądź taka pokazowa. . .

Po takim wstępie wiedzieliśmy, że tu na pewno nikt nas nie potrzebuje. Największą niespodziankę odkryliśmy dopiero w Wigilię. Wieczorem, wszyscy odświętnie ubrani, usiedliśmy do stołu. Czekaliśmy na najważniejszy punkt dzisiejszej uroczystości. Mikołaj powinien być zaraz po kolacji. I znowu przykre doświadczenie. Wszyscy dostali prezenty, tylko dla nas była jedna paczka, a w niej herbatniki. Długie herbatniki w foliowym opakowaniu, ale tylko jedne dla nas obu.

– Mogłaś przynajmniej się pofatygować i kupić coś dla tych biednych dzieci, ciągle gdzieś chodzisz, więc przynajmniej na tyle mogłyby się przydać twoje wielkie wyjścia! – wujek był zły na ciotkę i wcale nie krył się z tymi emocjami.

– Oj, daj spokój! I co się stało wielkiego? Nie dostały, może to i tak powinno być, wiesz, jak ja zawsze zazdrościłam ich matce! – ciotka była zła, albo szukała jakiejś obrony.

– O czym ty mówisz, głupia kobieto?! Zazdrościłaś ich matce i teraz będziesz się wyżywać na jej biednych sierotach? Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. . . Ty jesteś po prostu podła! Może i śmierci jej zazdrościsz? Nie wiem, dlaczego ożeniłem się z tobą, teraz naprawdę dałaś mi dużo do myślenia. . . – Wujek wycierał szybko talerze, jeden po drugim, cicho, bezszelestnie. Tak jakby to robił codziennie.

– Śmierci? Nie! Ale wszystkiego przed – tak, zawsze była lepsza, mądrzejsza i ładniejsza. A im? Nic nie będzie, mają dużą rentę, więc przeżyją. – Ciocia mówiła to z takim entuzjazmem, że trzeba było uwierzyć, że przeżyjemy. Jakoś. . .